

Tworzenie i tożsamość

George Steiner, *Gramatyki tworzenia*, przeł. Jerzy Łoziński, Poznań 2004, s. 302.

Pierwsze strony tej książki mogą nieco zbić z tropu czytelnika, który związał pewne oczekiwania z jej tytułem. Steiner zaczyna przewrotnie. „Nie ma już początków” – tak brzmi zdanie otwierające *Gramatyki tworzenia*; za nim następują akapity poświęcone namysłowi nad kryzysem kultury, poczuciem schyłkowości i śmiercią. I jeśli w późniejszych partiach książki autor wielokrotnie dopuszcza do głosu towarzyszący wszelkiej kreacji witalizm, to nastrój całości nadaje jednak właśnie ten melancholijny początek. *Gramatyki tworzenia* nie są bowiem w żadnym razie techniczną narracją w rodzaju tych, jakie uprawiał Noam Chomsky; nie jest to też radosny hymn na cześć ludzkich mocy twórczych. Jak pisze Steiner, „pożegnania to spojrzenie wstecz”, i takim właśnie, zwróconym ku przeszłości spojrzeniem – pożegnaniem minionych już gramatyk tworzenia – jest ta książka. Nie tylko tym jednak – bo każde pożegnanie ze swej istoty odsyła nas także do terażniejszości i tego, co będzie dalej. *Gramatyki* to również próba wyrażenia naszej współczesnej sytuacji oraz zapowiedź przyszłości, w której sam fenomen tworzenia staje się – przynajmniej wedle Steinera – poważnie zagrożony.

Zacznijmy od samego tytułu. „Zestrojona organizacja percepcji, refleksji i doświadczenia, system nerwowy świadomości, w momencie, gdy komunikuje się ona ze sobą i innymi” – w taki oto, ogólny i pojemny sposób rozumie Steiner swą „gramatykę”. Tworzenie natomiast (tworzenie lub stwarzanie – angielskie słowo *creation* zawiera w sobie te dwie możliwości) rozbite tu zostaje na cztery dziedziny – poezję, malarstwo, muzykę i metafizykę – które przez wieki pozwalały człowiekowi na wyrażanie czy też realizowanie tego czegoś, co decyduje o jego człowieczeństwie. Powiemy jeszcze niżej, czym „to coś” według Steinera jest. Od razu jednak widać, że *Gramatyki* to próba opisu gry o wielką stawkę – skoro zagrożone jest dziś tworzenie, groźba zawisa także nad samym człowieczeństwem.

Dodajmy tutaj tylko, że ten opis miewa różne stopnie intensywności. Kto czytał, choćby *Po wieży Babel*, wydaną po polsku wcześniejszą książkę Steinera, ten wie, jak charakterystycznym idiomem narracyjnym posługuje się ten autor. Najkrócej mówiąc, dzieła Steinera wręcz przytłaczają rozbuchaną erudycją. W notce na obwolucie *Gramatyk* czytamy, że ten absolwent trzech uniwersytetów jest „pisarzem i filozofem, historykiem filozofii, literatury i kultury”, a lektura dowolnie wybranych fragmentów książki dowodzi, że z równą wirtuozerią analizuje on, powiedz-

my, parytury Bacha, teorię względności i odcienie znaczeniowe w późnych wierszach Paula Celana (przyznaje się co prawda do ignorancji w sferze czystej matematyki – ale zaraz po tym pisze o niej w sposób, który zapewne niejednego matematyka może wprawić w zakłopotanie). Jest to, dodajmy, erudycja naznaczona anglosaskim arystokratyzmem ducha – Steiner nie bawi się zazwyczaj w jakieś wskazywanie źródeł, rozjaśnianie odniesień czy przesadne tłumaczenie niejasnych szczegółów: kto wie, o co chodzi, ten wie, a reszta niech sobie jakoś radzi. Zagubiony chwilami czytelnik *Gramatyk* może pocieszać się faktem, że książka jest podsumowaniem seminarium, które Steiner prowadził przez wiele semestrów; jak sam pisze w „Podziękowaniach”, materiał do niej zbierał przez ćwierć wieku. I właśnie ten erudycyjno-seminaryjny charakter nie zawsze narracji Steinera służy; niekiedy skoki myślowe wydają się zbyt szybkie i chaotyczne, innym razem wywód traci siłę, zbyt długo zatrzymując się przy analizie jakiegoś konkretnego problemu (wyraźnie pobrzmiwa w takich partiach echo dyskusji ze studentami).

W erudycyjny zatem i subtelny sposób Steiner usiłuje dotrzeć do istoty tego, czym tworzenie – i stwarzanie – jest. Poczynając od boskiego aktu kreacji, przez dziesiątki wielkich dzieł naszej kultury, aż po szachowe zwycięstwo komputera nad Kasparowem i komercyjne sukcesy Ricky’ego Martina, stara się nakreślić kluczową dla jego wywodu granicę, która oddziela tworzenie od odkrywania. W pewnym przynajmniej sensie jest to rozwinięcie znanej dobrze starożytnym różnicy między *poesis* i *mathesis* – przy czym dla historycznej warstwy rozważań Steinera równie ważna jak grecka – jeśli nie ważniejsza – jest tradycja żydowska.

Tworzy zawsze jednostka, odkrycia należą do ogólności – nawet jeśli konkretnych odkryć dokonują konkretne osoby. Jak mógłby powiedzieć Kierkegaard – tworzy jednostka, która ponad tym, co ogólne, odnosi się do siebie i tego, co Absolutne, odkrywanie natomiast – czyli, mówiąc wprost, nauka – dokonuje się w obiektywnej przestrzeni wymiany informacji, kolektywnych wysiłków, temporalnej ciągłości i niepowstrzymanego postępu. Tworzenie postępu nie zna – wielkie dzieła są ponadczasowe, a twórca zawsze zaczyna od zera. Warunkiem tworzenia jest samotność – Steiner pisze o różnych jej typach – która pozwala artyście/filozofowi na wspomniane radykalnie indywidualne odniesienie – i wyrażenie go w dziele sztuki. Nauka nie tylko nie potrzebuje samotności, ale wręcz od niej ucieka: jej duch najlepiej, według Steinera, wyraża się w dzisiejszych publikacjach fizyków czy matematyków, podpisywanych nawet przez kilkudziesięciu autorów.

Samo pojęcie tego, co absolutne, nie jest u Steinera klarownie wyeksplikowane – ale też być nie może, bo w różnych epokach i dla różnych twórców było to coś innego, co nie tyle zostało w ich dziełach wprost wypowiedziane, ile je warunkowało i przez nie przemawiało. Aby stworzyć, powiada Steiner, trzeba od-

nosić się do transcendencji bez względu na to, jak się tę transcendencję pojmuje. I jeśli brzmi to niejasno, to w owej niejasności odzwierciedla się w pewnym sensie metoda Steinera, który częstokroć zamiast zgłębiać z analityczną drobiazgowością dane problemy, odwołuje się do intuicji czytelnika, bardziej daje coś do zrozumienia, niż wyjaśnia, przyznaje się do własnej niepewności, aby móc iść w swych rozważaniach dalej. W tym sensie *Gramatyki* więcej stawiają pytań, niż dają odpowiedzi – ale w żadnym razie nie jest to ich wadą. Jak wiadomo, sowa Minerwy wlatuje o świcie, a skoro Steiner właśnie o współczesności stara się mówić, to gotowych formuł często mieć po prostu nie może.

Pewną ogólną diagnozę jednak stawia, a jest to skądinąd najbardziej problematyczny punkt całego wywodu. Chodzi o wspomniany już kryzys tworzenia. Coś, co umownie można nazwać śmiercią Boga – sam Steiner niezbyt lubi ten zwrot, ale przyznaje, że do czegoś ważnego on odsyła – spowodowało, że gramatyki tworzenia w istotny sposób się zmieniły. Po pierwsze, odniesienie do transcendencji stało się dla nowoczesności problemem. To niewyraźalne „coś”, czemu należy się szacunek, a co stoi u podstaw twórczego procesu, rozmyło się – a koszmary XX wieku przyczyniły się do tego w decydujący sposób. Po drugie, artysta stracił wiarę w same narzędzia tworzenia, o czym świadczą choćby słynny „kryzys lingwistyczny” w filozofii, boleśnie doświadczane przez dzisiejszych poetów „wytarcie słów” czy całkowita pustka, do jakiej doszły sztuki wizualne („Biały kwadrat na białym tle”). Tworzenie zanika też, zdaniem Steinera, bo nie możemy dziś doświadczać prawdziwej samotności, przy czym nie chodzi tylko – choć to też ważne – o wszechobecny szum współczesnej kultury, zalew informacji, telefony komórkowe i Internet – ale również o brak tej samotności, która dawniej możliwa była dzięki obecności transcendencji. Wszystkie te fakty, procesy czy fenomeny są oczywiście ze sobą splecione, wzajemnie się warunkują i razem prowadzą do sytuacji, którą Steiner relacjonuje w dość ponurym tonie.

Oczywiście, można się z nim nie zgadzać. Czy rzeczywiście trzeba już żegnać dawne gramatyki tworzenia? Wiadomo, jakie ryzyko podejmuje takie myślenie historyczne, które prezentuje Steiner – być może za kilkaset lat nasz czas oceniany będzie jako niezwykle płodny w wielkie dzieła sztuki. Z drugiej strony, *Gramatyki* posługują się gnostycką wizją czasu – im później, tym, zdaniem Steinera, gorzej. Zaczęło się od wspaniałego aktu boskiego stworzenia, potem przez stulecia powstawały pomniki twórczości – coraz bardziej wątle – dziś zaś możemy już tylko patrzeć w przeszłość. Być może takie patrzenie na kulturę i człowieka wypływa z nadmiernego znaczenia, jakie przydaje się twórczości. Steiner nie bierze najwyraźniej pod uwagę – przynajmniej w tej książce – że doświadczanie „tego czegoś”, egzystencja przytomna, autentyczna, czy jak to jeszcze nazwać, może obywać się bez tworzenia wielkich symfonii, poematów czy traktatów metafizycznych. Wciąż mogą przecież chodzić wśród nas kierkagaardiańscy rycerze wiary, którzy nie tylko nie tworzą, ale wyglądają na „pospolitych i nadę-

tych”. Całą tę sferę życia wewnętrznego jednostki, która nie tworzy, Steiner w swoich rozważaniach pomija.

Nie są to rzecz jasna zarzuty, które w istotny sposób trafiają w *Gramatyki tworzenia* – one w końcu właśnie tworzeniem się zajmują. To raczej jedne z wielu pytań, które rodzą się w dialogu z tezami stawianymi przez Steinera – a jego książka do takiego owocnego dialogu zmusza.

Maciej Kaczyński